



PRZYPOMNIENIA LITERACKIE

Czytanie źródeł VI

Fenomen zapomnienia albo sennik pamięci Wojciecha Czerniawskiego

Czesław Markiewicz

„Czasem, gdy idę drogą przez wieś, widzę ludzi z odległych epok. Błony jakieś pradawne mają na głowach, na ramionach. Ktoś pyta, w której stronie jest Troja. Ktoś pyta, czy pamiętam chłód jego czółka”. To, jedno z ostatnich zdań „Dziennika z zapomnienia” Wojciecha Czerniawskiego, jakoś zbyt doskonale archetypicznie określa stan świadomości człowieka „podwójnie repatriowanego”. Oto narrator, i jak się dowiadujemy z notki biograficznej sam autor opowieści (Wojciech Czerniawski urodził się 28 października 1945 r. w Gołębiewku, woj. gdańskie. Dzieciństwo spędził w nadmorskiej wsi Grzybowo pod Kołobrzegiem. Mieszka w Szprotawie), najpierw, jako dziecko nasiąka atmosferą tęsknoty swoich dziadków i rodziców za jakąś cudownie mglistą kresowością jeszcze niezbyt zadawnionej Rzeczypospolitej, później na chwilę konfrontuje to z własnymi „wykopaliskami” gdzieś na północy nowej Itaki, by zaraz przenieść się bardziej na południe nadodrzańskie. W literackim skrócie, w „Dzienniku z zapomnienia” wygląda to tak: „– Prawdziwa wieś z minionych wieków fascynuje mnie. (...) Ginie wieś drewniana, słomą kryta, z kapliczką przy starej gruszy przy drodze. (...) Tylko mchy na słomianym dachu się rozrosły. Obracają się piaszczyste koła wzgórz. Nad równiną ramiona tych, co kochali... – Ale to było tam, na wschodzie –

westchnęła matka. – Tu, na zachodzie, domy są murowane...”; „To byli Niemcy, po których przejęliśmy gospodarstwo. Stary Niemiec oprowadzał ojca po polach. Palili ojca tytoń, gdy ojciec wracał z koniem z pola. Córka tych Niemców, Hilda, bawiła mnie, płakała, gdy odjeżdżali. I my ciągle gdzieś odjeżdżaliśmy”; „Weszliśmy do mojego rodzinnego domu, do pokoju, w którym kiedyś miałem dwanaście lat. (...) I tylko jedno mnie zawsze podtrzymywało na duchu. Oczywiście pewnej dziewczynki, którą znałem w dzieciństwie. (...) Gdzie ja właściwie jechałem. Czy na pewno do tamtej wsi. (...) To niemożliwe, żebym to był ja. Ten młody mężczyzna o martwej twarzy”.

Zostawmy na chwilę to zawahanie Czerniawskiego dotyczące tożsamości bohatera, niech wystarczy to, że autor pozostawia wolną, uniwersalną przestrzeń do wypełnienia. Być może właśnie ta pozornie otwarta przestrzeń spowodowała, że to nie „Dziennik z zapomnienia” stał się kultową książką, którą z podobnych powodów stał się „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego. Być może różna recepcja obu powieści wypłynęła z odmiennego potraktowania archetypów.

Tak jak w „Dzienniku z zapomnienia” „Z wału wygrzebywano kości, szczątki mundurów, orzełki”, tak w „Senniku współczesnym” ktoś spostrzega między wodorostami Soły „krzyż, trochę ruski w kształcie, z okrągłą rozetą przy spojeniu ramion, a w niej (...) zarys odciśniętej głowy Chrystusa o bizantyjskich oczach”. Tak u Konwickiego pojawia się archetyp, bo mowa o medaliku powstańczym z 1863 roku. I to musi wystarczyć. I to wystarczyło, żeby „Sennik” Konwickiego stał się w powszechnej świadomości czytelniczej wystarczająco współczesnym, nie tylko w tytule bardzo ważnej powieści polskiej. Konfrontacja „orzełka” wygrzebanego z Wału Pomorskiego z powstańczym medalikiem, z góry skazuje na porażkę pierwsze ze skonfrontowanych wykopalisk. Na porażkę historyczną, ale czy na porażkę literacką?

Zostawmy na inną chwilę subiektywność tego rozstrzygnięcia. Przypomnijmy tylko, że Czerniawski, urodzony w 1945 roku, w chwili ukazania się „Dziennika z zapomnienia” (1980) miał za sobą doświadczenia na przykład 1968 roku, bardziej tego majowego z Paryża, niż marcowego z Warszawy. To, bardzo ważne doświadczenie, różniące Czerniawskiego od starszego i „nękanego” zupełnie innymi, „bizantyjskimi” obsesjami Konwickiego, wpłynęło pierwszorzędnie na moją bezkrytyczną fascynację „Dziennikiem z zapomnienia”. Zatrzymajmy się jeszcze przy podobieństwach obu powieści.

Czerniawski i Konwicki, razem, na przemian i równoległe z zasady ogrywają resentymenty wszelkiego autoramentu. O „wschodnim wzdychaniu” matki narratora „Dziennika” już przeczytaliśmy. Czas na bohaterów „Sennika”: „- Ach, u nas, (...) na wschodzie, to ludzie byli nerwowi. (...) Pamiętam, jeden taki urzędnik państwowy na Śnipiszkach (...) bardzo delikatne miał usposobienie. Rozgniewał się raz, (...) dość że napił się denaturatu czystego, a potem (...) jeszcze w łeb sobie strzelił (...). Taki był zdenerwowany, że poleciał na stację (...) i rzucił się pod pociąg. W tamtych czasach (...) u nas na wschodzie ludzie spokojnie żyli i pociąg jechał może dwa albo trzy razy na dzień, trzeba było jeszcze szczęścia, żeby tak trafić”.

Repatrianckie resentymenty znajdziemy jednak na chybił trafił, gdzie popadnie, nie szukając dalej niż między lubuskimi opłotkami u Trziszki, Olczaka, Paukszty itp. Czerniawskiego wyróżnia metafora, poetycki trop przygotowujący jakiś szerszy horyzont, zza którego już za chwilę wychynie słońce, to samo albo takie samo, jakie widzi co dzień o świcie Eskimos, Indianin, czy znudzony stabilizacją industrialną Amerykanin. Konwickiego wyróżnia anegdota, pojedynczy akapit przecięty kontrapunktem, zawiązany najcelniejszą z celnych point.

W opisach, będących u Konwickiego tylko zwolnieniem dialogu, chwilą wytchnienia po wyczerpującym gadaniu, Czerniawski upatruje swoją wielką szansę. Szansę poety, który nie tylko wie, ale przede wszystkim przeczuwa, jaką siłę mają napięcia między poszczególnymi słowami. Powiedzmy tak: Konwicki jest „opisowo statyczny”; Czerniawski jest „dynamiczny postrzegawczo”. „Sennik” może obejść się bez opisów. Wykreślenie opisów z „Dziennika” pozbawiłoby opowieści, paradoksalnie, tempa. Tempa lirycznego, które być może powszedniego czytelnika mniej intryguje, niż beletrystyczna akcja, mimo statyczności opisów. Porównajmy na dowód, bez pauzy, dwa fragmenty; pierwszy z „Sennika współczesnego”, drugi z „Dziennika z zapomnienia”: „Dom nasz stał na ledwo widocznym pagórku, na obłej skarpie czy raczej na prastarym brzegu rzeki, która kiedyś była potężna, wyłobliła obszerną dolinę, zanim natura uczyniła ją skromną rzeczulką oznaczaną nie na każdej mapie. Leżąc w pochyłym ogrodzie, widziałem pola biegnące stromo ku górze, ku słońcu, co toczyło się nisko nad czarnymi świerkami. Śród tych pól leżał, przylegając ciasno do zbocza, stary klasztor okolony złotymi klonami”. „Idę. W tłumie. W środku dnia. W niejasny sposób przywiązany do nocy. Smutek motyli. Łąka rozmywana przez delikatne naloty fal morza, studni, kałuż, wody po deszczu, na wieś. Oplątane przez nie trawy. Wiatr, który tamował mi oddech. Bliskość lata. Mielizna moja, po której biegłem przedziwnie lekko wzduż wału, za którym szumiało morze. Sosny obracały się, maliny były zawsze skierowane w moją stronę, a przecież odlatywały właśnie, chłód plaży pozostawiając gdzieś z boku”. Bez względu na różnice, mam satysfakcjonujące przekonanie, że Czerniawski musiał czytać przed napisaniem „Dziennika” „Sennik” - wyczuwam w tym swoim przecuciu nieujawnione antenacje.

I dopiero w tym momencie, wczytany w „Dziennik z zapomnienia” z podwojoną w czasie egzaltacją, mogę spełnić odkładane już dwukrotnie: po pierwsze „tożsamościowe zawahanie Wojciecha Czerniawskiego”, i po drugie „subiektywność rozstrzygnięcia porażki historiozoficznej na rzecz spełnienia literackiego”. Swoją wędrówkę „zapomnienia” bohater-narrator-autor „Dziennika” kończy tam, gdzie ją zaczął: w dzieciństwie. Ale bogatszy o archetypy wygrzebane nie tylko z nadmorskiego wału gdzieś pod Kołobrzegiem, bo także o te poskładane z kulturowych skorup znad całego rozlewiska Morza Śródziemnego. I tak spełnia się sen o Itace: tożsamość „tu i teraz”. „I oto pewnego dnia widzisz, że wróciłeś. Ziemia znowu pachnie. Zwierzęta poznają cię. Nawet ten stary, ślepy już chyba pies. Drgnął jakby. Ta piękna kara kłacz. Krowa. (...) Odyseusz gromadzi Troję. Już ma lśniący miecz skiby, konia, Circe, Penelopę, szczątki naczyń, zatopione okręty. (...) Kiedyś, gdy było mi bardzo zimno, usłyszałem szept, spojrzałem w stronę, skąd dochodził. A to moja matka w swoich straszliwie powykrzywianych przez reumatyzm, trzęsących się rękach, trzymała słońce. Galaktyki przesuwają się z chrzęstem podobnym do chrzęstu nadmorskiego piasku pod stopami”. To ostatnie, najważniejsze słowa „Dziennika z zapomnienia”.

Jest jeszcze ta nieszczęsna historiozofia. Nie ma w „Dzienniku z zapomnienia” nawet aluzji publicystycznych, którym ulegali wszyscy autorzy siłujący się z powojennym przesiedleniem, dotyczących „racji stanu”. Czerniawski literacko pokonał wszelkie tego typu zagrożenia. Otwierając przestrzeń zbudowaną z doświadczeń choćby barwnej końcówki lat sześćdziesiątych, nadał swojej „repatriacji”, tej mentalnej i tej rzeczywistej, wymiar uniwersalny. W dodatku uzupełnił tym tożsamość swojego narratora. Z poetycką swobodą porusza się między „poniemieckimi” przedmiotami, a rekwizytami z „muzeum wyobraźni” - w takim rozumieniu, jak chciał André Malraux. Zresztą posłuchajmy: „To właśnie tutaj, zawieszony na pępowinach pięknych kobiet wisiał Memling,

spadał Ikar, jeden tylko Borges zachował spokój. Kobiety biegły. Mężczyźni biegli. Mówili coś o różnych rzeczach potrzebnych do życia. (...) A więc zauważono mnie. Ale na szczęście dopiero zauważono. (...) Oto piękne Heleny uciekające z piekła. Oto wędrowka pośród skromnych przedmiotów zgromadzonych w maleńkim pokoiku. (...) Dante żywił się w barze mlecznym. Trzęsący się staruszek w trampkach, z plastikową torbą damską na zakupy. (...) Tylko on ocalał, to gdzieś tutaj spotkałem Lira, kiedyś był władcą, królem, teraz jest starym człowiekiem, idzie, trzęsąc się, ulicą, lecimy nad światem, mijamy białą ścianę Dover, w dole Nowy Jork, jaka delikatna, jak gdyby wysmukła jest korona powietrza, jak gdybym podnosił się z dna, lecimy, jaki świat jest piękny, przelatujemy nad Itaką, ludzie pchają tyłki do samochodów, dławią się szynką, leżą na kanapach, czasem gdzieś w tłumie spotykam Beatrycze, jest to chwila tylko, ułamek sekundy, czy chwila może zdecydować o czymś życiu”.

Są jeszcze przynajmniej dwa zachwycające powody, żeby mówić, mówić, bez końca mówić o „Dzienniku”. Pierwszy, krótko sformułowany, to technika narracyjna Czerniawskiego. Cała opowieść, wszak skonstruowana jak quasi wiersz, jest rasowo ciągnącą się opowieścią. Czasami nawet pojedyncze zdania, wplecione w opis, dialog, akcję, mają smak eseju. Splątanie form, sugerujące jakieś enigmatyczne zlepianie sensów, poraża jednocześnie jednorodnością narracji. Wszystko do siebie pasuje, jak skoprupy rozbitej przed wiekami, wygrzebanej z ziemi amfory z Lesbos.

No i wreszcie postać ojca. To w ogóle osobna figura literacka. Ale chyba nie tylko. Emocje wtłoczone w ożywienie tego bohatera ujawniają głębsze, niż fikcyjne, związki autora z postacią. Ojciec z „Dziennika”, choć inną kreską namaszczonej, jako żywy kojarzy się z innym ojcem, „autorem” słynnych „Traktatów o manekinach” ze „Sklepowów cynamonowych” Brunona Schulza. „Mój ojciec robił bańki na mleko, które moja matka sprzedawała na targu. (...) Zawsze wydawało mi się, że ojciec buduje samolot, którym pewnego dnia odleci z tego ponurego miasteczka. Siedział na skrzyneczce po amunicji w swoim pokoiku, pełnym tajemniczych oparów, dymów, precyzyjnych ruchów lutownicy, wpatrywania się w żar żelaznego piecyka. Siwowłosa człowieczek zgarbiony nad bańką, z drucianymi okularami bez jednego szkła na nosie, pośród buteleczek z kwasem solnym, do którego był wrzucony kawałek cynkowej blachy, z lutownicą wśród kłębow dymu tartą pośpiesznie o deseczkę z salmiakiem i wśród rozedrganych kropelek cyny w swoim straszliwie zagraconym pokoiku będącym w swej istocie pracownią średniowiecznego alchemika, usiłującego wynaleźć życie”. Tyle Czerniawski, a Schulz zdaje się dodawać: „Wówczas bywało, że zbiegał po cichu z łóżka w kąt pokoju, pod ścianę, na której wisiał zaufany instrument. Był to rodzaj klepsydry wodnej albo wielkiej fioli szklanej, podzielonej na uncje i napełnionej ciemnym fluidem. Mój ojciec łączył się z tym instrumentem długą kiszka gumową, jakby krętą, bolesną pępowiną, i tak połączony z żalonym przyrządem - nieruchomiał w skupieniu, a oczy jego ciemniały, zaś na twarz przyblakła występował wyraz cierpienia czy jakiejś występnej rozkoszy”.

„Dziennik z zapomnienia” ukazał się w 1980 roku - była to nagroda w konkursie „Iskier” na debiut 1979. Trzy lata wcześniej, w 1976 roku, pierwszy tom poezji Wojciecha Czerniawskiego „Jest już chyba kobietą” (nie licząc arkusza poetyckiego „Za las”, który ukazał się nakładem LTK w 1965 roku) uznany został za najlepszy debiut poetycki roku. „Dziennik z zapomnienia” adaptował na scenę w „Starej Prochowni” w Warszawie Wojciech Siemion. Koniec lat siedemdziesiątych objawił w literaturze polskiej wielki talent. O Wojciechu Czerniawskim mówiono i pisano tylko dobrze, tylko z entuzjazmem. Potem było tylko jeszcze lepiej. Pojawiły się: „Puszkin w Paryżu” i „Katedra w Kolonii”. Z wielką oskromą czekam na coś jeszcze lepszego, bez względu na to gdzie teraz „wędruje” Wojciech Czerniawski.